

MICHAŁ MORPHY.

# KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

14

Następstwem tego doniesienia był wydany rozkaz śledzenia na miejscu wieczorów, wydawanych przez panią Wiktoryę dla swojej klienteli. Dwóch komisarzy potrafiło się wkręcić dyskretnie do jej domu, gdzie od razu zajęli się specjalnie zielonym pokoikiem, w którym grywano w ruletę i różne hazardy i w końcu otrzymali od nieprzeczuwającej niczego pani Wiktoryi zaproszenie na wielką zabawę maskową. Noc ta była wyznaczona do poczynienia aresztowań i zamknięcia pracowni, jak również agencji starago lichwiarza.

Obydwaj komisarze byli na stanowisku, jeden w głównej sali, drugi przy rulecie, kiedy o północy zadzwieczał dzwonek przy drzwiach wchodowych, w kilka minut po ucieczce Henryka de Kermor i jego towarzysza.

— To pewnie Delrue wraca — zauważyła pani Wiktorya, która nie oczekiwała już nikogo z gości — Za chwilę będziemy mieć w kieszeni nasze dziesięć tysięcy franków.

I sama pobiegła skwapliwie drzwi otworzyć. Ale nie był to Delrue, tylko komisarz w urzędowym ubiorze, który nie bawiąc się w rozmowy, rozkazał krótko:

— Proszę za mną!

W mgnieniu oka pani Wiktorya otoczona została agentami, przebranymi po cywilnemu, i popchnięta do sali, gdzie natychmiast zapanował popłoch i zamieszanie nie do opisania.

Wejście policyi nie było wielką niespodzianką dla zacnej matrony, która obawiała się jej zawsze przy każdym większym zebraniu. Było to ryzyko konieczne w jej procederze, więc pani Wiktorya udała okropne przerażenie i zdziwienie, którego nie odczuwała, zaczęła krzyczeć i wyrwać się rozpaczliwie.

— Co to ma znaczyć? Policja u mnie? — wołała oburzona — Któż zresztą mi zaręczy, że panowie rzeczywiście należą do policyi? Pokażcie mi rozkaz formalny! Chcę go widzieć! Wszyscy mnie tu znają, to robotnice moje i klientki, które ubierają się w mojej pracowni. U mnie dziś uroczyste święto, obchodzę dzień moich urodzin! Każdy panom to potwierdzi! Ładne rzeczy! Więc porządnym ludziom nie wolno już teraz uczciwie się zabawić we własnym domu? Panowie z policyi nie mają tu nic do roboty.

Pani Wiktorya rozmyślnie krzykami zatrzymywała władze policyjne, aby ostrzedz zebranych gości i dać im możliwość ucieczki.

Pan Collin-Megret skorzystał więc natychmiast z tej pomocy i nie czekając końca, rzucił się w wąski korytarz, prowadzący do jego mieszkania. Ale tutaj potknął się o kogoś uciekającego w przeciwnym kierunku.

— To ty, Magnus?

— Tak, co tam nowego?

— Policja w domu! Uciekaj prędko, tu, za mną!

— Oh, nie! Nie tędy! Właściwie stamtąd biegnę!

— Czy nie rozumiesz, co ci mówię, że policja jest w domu, weszli od tej strony.

— A stamtąd można dostać nożem w piersi! Niema głupich! Z dwojga złego wolę policyę!

— Idźże więc do stu dyabłów!

— Właśnie, właśnie, już mam jednego, który nastaje mi na pięty.

Doktor Magnus mylił się jednak. Luiza nie goniła za nim, lecz pozostała w pokoju Janki, dąkając wbiegła, przywołana rozpaczliwym jej krzykiem.

W tej chwili, błada z niespokojnym błyskiem w rozgorączkowanych oczach, unosiła przyjaciółkę do swojego pokoju, aby się nią zaopiekować i obronić.

Położyła ją ostrożnie na łóżku i wszelkimi sposobami starała się ją przywrócić do przytomności. Zdzierając z niej niecierpliwie długi welon ślubny, rozpinając stanik, pocierała ręce i skronie wodą.

— Janko! Moja Janko! — wołała ze łzami w głosie — Zbudź się! Nie lękaj się niczego! To ja, Luiza.

Przez ten czas pan Collin-Megret niespostrzeżenie przemknął się tajemnym przejściem do swojego mieszkania. Tu uczuł się bezpiecznym i pewnym siebie. Dalekim był od posądzenia Andrzeja Delrue o zdradę, tego pewnego współnika, któremu tak znakomicie udało się zastawić pułapkę na naiwnego hrabiego de Kermor. Temu ostatniemu chodziło tylko o to, aby na własne oczy widział scenę, która na zawsze uleczy go z wiary i nadziei nie straconych

jeszcze. Hrabia de Kermor widział więc i musiał uwierzyć, że widzi prawdę, tak inscenizacja zrzeczenie i plastycznie przeprowadzona została.

Zabawa w jednej chwili przerwana została; zebrani goście uciekali w popłochu którego mogli. Lecz wszelkie wyjścia dobrze były strzeżone, zarówno główne wejście, jak i drzwi od pracowni i boczne od sklepu.

Wysyłając list z doniesieniem do policyi, Andrzej Delrue nie omieszkiał podać dokładnego planu mieszkania, nie zapominając o sekretnej przejściu, łączącym mieszkania małżonków Collin-Megret.

Plan ten komisarz miał w kieszeni.

W tej chwili rozkazywał on agentom zbierać ze stolików do gry porozrzucone sztuki złota i przystąpił do badania najbliższych osób, wypytując się o nazwiska, wiek i zatrudnienie. Przyszła w końcu kolej i na doktora Magnusa.

— Ah! To pan, panie doktorze! Znowu mam przyjemność w takiej okoliczności spotkać pana. Ale ostrzegam, niech to będzie po raz ostatni — rzekł komisarz, surowo patrząc na delikwenta. — Stanowisko pana i wpływy już nie obronią pana na raz następny.

Po tej przestrodze, która już była groźbą, doktor Magnus de Villepre wysunął się czempredzej z tłumu.

W końcu niektórzy goście pani Wiktoryi, dokładnie przesłuchani, dostali pozwolenie oddalenia się z rozkazem stawienia się w dyrekcji policyi na jutro, resztę zaś oddał komisarz w opiekę agentom.

— Odstawić ich natychmiast na inspekcję — rozkazał — Jutro raz jeszcze będą przesłuchani.

Rewizja trwała w dalszym ciągu; przybliżano się już do prywatnego mieszkania pani Wiktoryi, która czując już teraz, co ją czeka, pospieszyła z uprzedzeniem:

— Mieszkają u mnie dwie pracownice, które przyjąłem z litości — rzekła, uśmiechając się słodko.

— Dobrze, dobrze. Przekonamy się o tem.

— Jedna z nich służyła mi za manekin do słubnej sukni.

— Tak, tak, do ceremonii ślubnej, odbywającej się o północy! Rozumiem to.

— Ale ja mówię zupełnie poważnie, panie komisarzy.

— Ja też to biorę poważnie, moja zacna pani, poważniej nawet, niż pani przypuszcza.

— Może ją pan przesłuchać.

— Za pozwoleniem pani, nie omieszkam skorzystać z tak miłego zaproszenia — dodał komisarz, otwierając drzwi do małej pracowni.

Pokój był pusty; komisarz skierował się dalej. Pani Wiktorya szła za nim z bijącym sercem. Gdzie mogła być Janka? I co teraz się stanie?

Komisarz otwierał już drzwi do pokoju Luizy.

— Oh! — rzekł, zatrzymując się — Panna młoda w towarzysystwie dyabelka! Wcale oryginalny widok!

Janka stała na środku pokoju wsparta na ramieniu przyjaciółki. Patrzała na wchodzących szeroko rozwartymi oczyma, nie zdając sobie sprawy, co się z nią dzieje. Twarz jej była śmiertelnie biała.

— Ależ to ohydne! — zawołał oburzony komisarz — To dziecko ma zaledwie szesnaście lat! A tamta?

— Zdejm no tą maskę, moja kochanko! Ta znowu ma najwyżej ośmnaście lat!

— Obydwe są pełnoletnie, panie komisarzy — pospieszyła objaśnić pani Wiktorya — Zapisane są w moich księgach meldunkowych.

— Znamy dobrze pani księgi i panią także.

Zwrócił się do młodych dziewcząt, wypytując o nazwiska i zajęcie, ale ani jedna, ani druga nie zdobyły się na odwagę, aby powiedzieć.

— Bardzo ładnie — rzekł komisarz niecierpliwie — Widzę, że pupilki pani przez dobrą przeszłą szkołę, ale może na inspekcji zechcą przecie przemówić.

W oczach jego przebiegł jak gdyby odcień litości, gdy raz jeszcze spojrział na pobladłe twarze nieszczęśliwych istot.

— Wyjdźcie stąd — rzekł do agentów — Niechże się przebiorą w spokój.

Poczem zwrócił się w stronę pokoju pani Wiktoryi.

— Tam niema nikogo, przysięgam! — zawołała pani Wiktorya.

— A z tamtej strony?

— Jakiej strony? Niewiem o żadnej.

— Z tamtej strony ściany.

Pani Wiktorya zadrżała tak silnie, że musiała oprzeć się o framugę drzwi.

Patrzała skamieniałym wzrokiem, jak agenci przedstawiali i odsuwali meble.

— W tej szafie jest ukryte przejście — zauważył wkrótce jeden z nich.

W chwilę później z komisarzem na czele wcho-

dzili do mieszkania pana Collin-Megret, do jego prywatnych biur i agencji z okienkiem.

Biedny pan Collin-Megret! Dalekim był od domyslenia się, że miłe te odwiedziny zawdzięczał interwencji współnika swojego, a przedewszystkiem nie wiedział, że agenci od pewnego czasu rozpoznali w nim byłego handlarza, skazanego za jakieś przestępstwo do odsiedzenia kary w Clairvaux.

W dyrekcji policyi zapadł więc wyrok aresztowania przy najbliższej sposobności wydawcy „Przewodnika światowego“ i sprawdzenia jego autentyczności.

Na widok niepożądanych gości pan Collin-Megret, dygocząc z przestrachu, jednym susem znalazł się w przyległym pokoju, przeznaczonym na skład starej garderoby i rupieci. Tam to odszukali go agenci pod stosem ubrań i bez najmniejszych względów dla tak poważnej osobistości popchnęli go przed siebie.

— Oh! oh! — zaśmiał się żartobliwie komisarz — odnajdujemy więc pana, kochany panie Locquret! Jesteś przecież naszym starym znajomym, nieprawda? — dodał, pociągając za brodę pana Collin Megret, która pozostała mu w ręce.

Agenci wybuchnęli śmiechem. Pan Collin-Megret, pozbawiony swojej poważnej brody, która tyle dawała mu dostojności, z twarzą skurczoną, zieloną z trwogi, wyglądał bardzo komicznie.

To, co się stało, było tak nagłe i niespodziewane, że biedak zaskoczony nie mógł wydobyć głosu, aby się bronić lub tłumaczyć.

Przyszła mu w pomoc szanowna małżonka.

— Ależ to wszystko jest tylko okropną pomysłką! — zawołała rozpaczliwie — Panie Collin-Megret! Oprzytomnij i powiedz tym panom, że się mylą!

Ale komisarz miał już dosyć żartów. Nie zwracając uwagi na protest pani Wiktoryi, rozkazał krótko swoim agentom:

— Zabierać ich natychmiast i czuwać, żeby się nie wymknęli.

## Tryumf Andrzeja Delrue.

Sprawiedliwość często bardzo ślepą bywa w swoich zarządzeniach. Kapryśny los chciał, aby Andrzej Delrue do końca doprowadził bez przeszkody swoje przewrotne dzieło zniszczenia i sam na razie wyszedł z koła niskich intryg, które sam stworzył, obronną ręką. Janina le Brenn zaś i Henryk de Kermor mieli do dna wypić podsunięty im podstępnie kielich gorczy i cierpienia.

Henryk biegł nieprzytomny z rozpaczą prosto przed siebie ulicami, tonącymi w mgłę coraz cięższej. Przez zaciśnięte zęby jego nerwowo wybiegały urywane słowa i przekleństwa. W jednej chwili Delrue dogonił go i pochwycił za rękę.

— Zostaw mnie! — krzyknął niecierpliwie, odsuwając się — Zabraniam ci iść za mną.

— Henryku, błagam cię, wysłuchaj mnie — prosił Delrue.

— Nie! Nie odzywaj się teraz do mnie, bo czuję, że mogłoby się stać nieszczęście! Odejdź, proszę cię.

— Mój przyjacielu kochany, opamiętaj się. Skąd ten gniew do mnie?

— Nie mam już przyjaciela i w niego wierzyć nie mogę. To, co widziałem, wystarczy do odebrania illuzji na resztę życia.

Delrue jednak, mimo oporu Henryka, biegł za nim dalej, obawiając się go stracić z oczu w gęstej ciemności, która zalegała ulice miasta. Lękał się jakiejś katastrofy, jakiegoś nieobliczalnego wybuchu Henryka, a równocześnie dręczyła go myśl, co też w obecnej porze dziać się może na ulicy św. Łazarza. Co znaczyć mogło to nagłe zjawienie się policyi i jakie skutki z tego dla niego wypłynąć mogły.

Wiele osób mogło go zdradzić: Collin Megret, pani Wiktorya, doktor Magnus de Villepre, Janina le Brenn i może nawet Luiza. Absolutnej pewności, że osobą, która mu tak niespodziewanie zdjęła maskę na zabawie, była Luiza, Delrue nie miał jeszcze. Pomimo jednak, że dręczył go straszny niepokój, miał on jakieś przeczucie, że wygrał sprawę, że koniec jego trosk i lęków był już bliski.

Henryk de Kermor bez zastanowienia biegł dalej; po godzinie, bezcelowym błądzeniu znalazł się znowu o kilka kroków od domu Collin-Megret i od warty policyjnej. Tu ujrzał ciągnącą się kawalkadę policyantów, agentów, mężczyzn i kobiet. Poza grupą mężczyzn dojrzał nieszczęśliwą twarz starego lichwiarza. Delrue zaś w tłumie kobiet rozpoznał panią Wiktoryę i Janinę le Brenn. Dojrzał ją również Henryk i już oczu od jej postaci oderwać nie mógł.

— Nieszczęśliwa istota! — szepnęła, ogarnięta nagle wzruszeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).